

Konstruowanie wroga

6 września 2024

Sierpniowe parady, demagogia wojenna i bojowe prężenie muskułów polskich polityków i politykierów na wypadek zbrojnego zwania z Rosją, mają nam uświadomić, że żyjemy w niebezpiecznym okresie oczekiwania na najgorsze.

Można usłyszeć z ust wielu „mądrali”, że zostało nam raptem kilka lat, aby uzbroić się „po zęby”, czekając na nieuchronną wojnę. Czy to niezwykła intuicja, czy raczej bezradność i głupota przebijają z takich oczekiwań? A może bezmyślna rola podżegacza wojennego? Na nieszczęście, takie projekcje mogą przybrać charakter samospełniających się przepowiedni.

W kolejnej refleksji wracam więc uparcie do konieczności przywrócenia w Polsce myślenia propokojowego. Wiadomo jest, że zagrożenie wojenne zwalnia polityków z wysiłku myślowego. Daje im pole do arbitralnych popisów retorycznych i przestrzeń do podejmowania decyzji, które w normalnych warunkach nie miałyby szans realizacji. Trzeba jednak rządzącym nawet w chwilach największego ich uniesienia zadawać oczywiste, choć trudne pytania. Komu w Polsce i w imię czego potrzebna jest wojna? Jakie cele chce Polska osiągnąć, zmierzając do bezpośredniego zaangażowania się w ataki przeciw Rosji? Dlaczego wicepremier i minister obrony, notabene z zawodu lekarz, nie rozumie tego, że ludzie wtedy czują się bezpiecznie, gdy armaty milczą, a oni są zaopiekowani? Nie muszą czekać w horrendalnych kolejkach do szpitali i marzyć, aby dostać się na badanie przed pogorszeniem stanu zdrowia na tyle, aż pozostanie im tylko nadzieja na zbawienie wieczne?

Tragedią polskiej polityki jest brak takiej elity politycznej, która byłaby zdolna do myślenia niezależnego i „całościowego” o stanie państwa oraz rozwoju społeczeństwa w dłuższej niż kadencja wyborcza perspektywie. Która potrafiłaby przygotować nowoczesną armię nie dla celów wojennych, lecz dla obrony

swoich obywateli, z komplementarnym wykorzystaniem wszystkich środków pokojotwórczych, w tym układów i dyplomacji. I która umiałaby taką strategię wyartykułować w sposób racjonalny, a nie demagogiczny i afektywny, „strojąc się w piórka” niezwykniętym patriotów.

Przecież to wszystko już przerabialiśmy w historii! W 1939 roku poza tromtadracją nie było ani armii dostatecznie silnej, ani wyobraźni strategicznej. A wrogowie byli realni, a nie „skonstruowani”. Po co kolejne pokolenia „rzucić na stos”? Widać, że marnie wygląda przyswajanie jakichkolwiek nauk z historii, a jeszcze gorzej wnioskowanie z dzisiejszej analizy „wkręcania” Polski w nieswoje konflikty.

Wojna na Ukrainie leży przede wszystkim w interesie Stanów Zjednoczonych. Nie bez powodu, prezydent Joe Biden zapowiadał na jej początku, że będzie długa i kosztowna. Leży przecież w interesie państwa, które uzasadnia swoje zaangażowanie zbrojne nie tylko kalkulacjami utrzymania prymatu potęgi w grze mocarstwowej, ale walką o wartości uniwersalne, jak wolność i demokracja. Tymczasem nie wszystkie państwa, a zwłaszcza społeczeństwa podzielają ten uniwersalizm. Łącznie z Ukraińcami, którym daleko do standardów zachodnich, jeśli chodzi o przestrzeganie praw i wolności religijnych, językowych czy oświatowych. W Polsce mało kto zauważa, co dzieje się choćby z Kościołem prawosławnym patriarchatu moskiewskiego i jego wyznawcami.

Od św. Augustyna począwszy, poprzez Lutra i Machiavellego, po Bodina i Hobbesa, a także XX-wiecznych realistów politycznych, „bez porządku nie można cieszyć się wolnością” (Kenneth N. Waltz). Życie oraz gwarancje przetrwania i pewności są ważniejsze od sprawiedliwości i wolności. Nie ma zatem powodów, aby Polska uszczęśliwiała inne narody w imię wolności i demokracji, gdyż one same decydują o swoich preferencjach i mają swoje racje, które w pluralnym systemie międzynarodowym powinny być szanowane.

Ślepota „elit”

Polscy liderzy nie dostrzegają splotu istotnych przyczyn wojny na Ukrainie. Nie chcą też dostrzec narastającego sprzeciwu w społeczeństwach zachodnich wobec tego konfliktu. Widać wyraźnie, że w USA, Niemczech, Francji, Austrii czy Włoszech do władzy będą dochodzić siły polityczne uznające kurs na konfrontację z Rosją za bezsensowny. To wpłynie także na reorientację polityki unijnej. Kto w Polsce liczy się z taką ewolucją?

Nie jest też prawdą wbrew patetycznym zachwytom, że każda obecność militarna i kapitałowa zza Atlantyku służy nad Wisłą jedynie zbożnym celom. Pół biedy, jeśli „legiony atlantyckie” odgrywają rolę odstraszającą i powstrzymującą. Gdy jednak zaczną uczestniczyć w działaniach ofensywnych przeciw Rosji, Polska ściągnie na siebie największą ripostę militarną, o trudno przewidywalnych skutkach. Sojusznicze gwarancje mogą okazać się niezwykle kosztowne, z czego coraz więcej obywateli już dziś zdaje sobie sprawę.

Żaden z polskich polityków nie analizuje ewolucji strategii amerykańskiej pod kątem rewizji priorytetów wewnętrznych i oddalania się Ameryki od Europy w stronę Azji i Pacyfiku. Stawianie na coraz większe budżety wojenne i zbrojenia jako odpowiedź na „deamerykanizację” Europy, to droga do totalnej katastrofy politycznej i gospodarczej. Przede wszystkim będzie to zapaść Unii Europejskiej, która sprzeniewierza się swoim założeniom ideowym. Miała budować „jedność w różnorodności”, być platformą dialogu i kompromisów. Także wobec państw spoza jej granic, a może właśnie wobec takich, by rozszerzać kulturę pokoju i współpracy. Wspólnoty europejskie powołano przecież po to, aby nigdy już Europejczycy nie wojowali między sobą.

Póki co, mocarstwo zaoceaniczne jest narzędziem globalnej dominacji wielkiej oligarchii finansowej, przemysłowej i militarnej. I to interesy tej oligarchii determinują

zainteresowanie Ameryki poszczególnymi dziedzinami obrotu międzynarodowego oraz żywotnymi regionami globu z punktu widzenia wielkiego kapitału. Dopóki więc Ameryka będzie dostrzegać swoje interesy w konfrontacji z Rosją, dopóty każdy z jej prezydentów będzie deklarować swoje przywiązanie do obrony zasobów Europy Wschodniej. Polskę czeka zatem najgorsza z możliwych strategii: „im gorzej, tym lepiej”. Im większa wrogość wobec Rosji, tym pewniejsze zaangażowanie Ameryki w wojnę „w naszej obronie”.

Przyjmując założenie, że Polska przez sam fakt przynależności do struktur zachodnich stała się Zachodem jest nadużyciem logicznym i błędem diagnostycznym. Polska nie ma bogatego dorobku kulturowego i materialnego, który potwierdzałby jej zachodnią tożsamość. Przynależność do struktur Zachodu jako „późnoprzychodzącego” nie wyrównuje deficytów spowodowanych brakiem reformacji, oświecenia czy ery liberalizmu (kapitalizmu wolnokonkurencyjnego), które spowodowały tam przeobrażenia mentalne, niemożliwe do nadrobienia.

Fałszywe priorytety

W sensie geokulturowym Polska należy do Europy Środkowej, co w sposób naturalny czyni ją państwem „pomostowym” i „tranzytowym”. Z takiego położenia przy mądrej polityce „przeciwważenia” czy „aktywnego dystansu” Polska mogłaby wyciągnąć to, co najlepsze – zbudować pozycję „regionalnego moderatora”, a nawet stabilizatora równowagi regionalnej. Wbrew tym atutom polscy decydenci plasują ją „na krawędzi” zachodniego systemu, co czyni Polskę państwem „frontowym”, (w ulubionym przez domorosłych geopolityków żargonie – „strefą zgniotu”), ale paradoksalnie także odległym i „peryferyjnym” dla większości państw zachodnich.

Polscy politycy jak ognia unikają myślenia realistycznego. Pod wpływem obcych suflerów i szkodliwych dla Polski scenariuszy ustawiają Polskę w roli „regionalnego mocarza”, który jest

gotów służyć nie tylko interesom swoich mocodawców i patronów, ale także ryzykować konfrontację zbrojną ze „skonstruowanym” wrogiem, czyli Rosją. Czynią to w imię ślepej solidarności z Ukrainą, na której politykę Polska nie ma żadnego wpływu i ze strony której spotykają ją różne, coraz bardziej bezczelne i obraźliwe afronty. Już teraz Ukraina stała się beneficjentem zachodniej rusofobii i wyrasta na głównego rywala Polski w walce o pozycję we wspólnocie zachodniej.

Polsce potrzebna jest nie tylko wizja swojego miejsca w ugrupowaniu zachodnim, ale także rzetelna diagnoza sił, szans i możliwości, aby prowadzić politykę samodzielną w sferze definiowania interesów, a także ich implementacji. Nie może być tak, że nasi sojusznicy z NATO, zwłaszcza Amerykanie, Brytyjczycy i Niemcy wiedzą lepiej, co Polsce i Polakom potrzeba i jakiej strategii międzynarodowej powinni służyć. Imperatywem powinna stać się strategia pokoju, a nie wojny! To pokój sprzyja rozwojowi potencjału i umacnianiu pozycji międzynarodowej. Wojna zniweczy wszystkie dotychczasowe osiągnięcia i zepchnie Polskę do roli przedmiotowej.

Dogmat UE i NATO

W ostatniej dekadzie polską politykę zagraniczną zredukowano do dwu bezalternatywnych wektorów, wzajemnie się nakładających: atlantyckiego i unijnego. Wbrew logice przeciwważenia i komplementarności, brakuje uzupełnienia w postaci rozsądnej polityki wschodniej. Wrogość wobec Rosji i Białorusi, podobnie jak bezkrytyczna solidarność z Ukrainą opierają się na bieżącym zaangażowaniu w konflikt, którego nikt nie potrafi rozwiązać. Na „kowadle wojny” opiera się cała myśl strategiczna współczesnej Polski. To rokuje jak najgorzej na przyszłość.

Tak dla obecnej koalicji rządzącej, jak dla Zjednoczonej Prawicy, podsycanie atmosfery strachu i wrogości wobec Rosji jest „paliwem” ciągłej kampanii propagandowej. Towarzyszy jej

banalizacja wojny, co przygotowuje społeczeństwo na wypadek nie tyle rosyjskiej agresji, ile zaangażowania Polski po stronie sił atakujących. Jakiego tego mogą być konsekwencje dla Polaków, mało kogo obchodzi. Ważna jest prowojenna psychoza i demonstracja gotowości do patetycznych, a przecież bezmyślnych i nikomu niepotrzebnych poświęceń za ojczyznę. Awanturnictwo i ryzykanctwo mamy przecież we krwi. Zwłaszcza gdy sprawy wewnętrzne pójdą w złym kierunku, odwrócenie uwagi społeczeństwa w stronę wojny może być pokusą trudną do odparcia.

Polska swoją polityką walczy przyczynia się do nadania konfliktowi na Ukrainie charakteru „nierozwiązywalnego”, podobnie jak dzieje się z konfliktem w Palestynie (por. Daniel Bar-Tal, „Złudzenia niszczące życie. O konflikcie państwa izraelskiego z Palestyńczykami”, Warszawa 2024). Już Bismarck projektował „kwestię wschodnią” jako „krwawiącą ranę”, „jak wrzód, który powinien krwawić, ale nigdy się nie goić”. Od kilkuset lat udaje się to różnym szalbierzom i szubrawcom, którzy dla swoich niecznych planów mają na celu umacnianie i utrwalanie w społeczeństwach środkowo- i wschodnioeuropejskich resentymentów i nienawiści do Rosji.

Polski przypadek polityki antyrosyjskiej ma charakter szczególny. Jest zdeterminowany złożoną historią i trudną geopolityką, na tematy których napisano już całe biblioteki. Przyrost wiedzy nijak jednak nie wpływa na racjonalizację zachowań politycznych. Przeciwnie, każdy realistyczny ogląd sytuacji spychany jest na margines, gdyż górę biorą demony irracjonalizmu, negowania roli rozumu, a nawet zdrowego rozsądku. To czynniki psychologiczne i emocjonalne dyktują orientacje ideowe względem Rosji. Państwo polskie wpisuje się w jak najgorszą tradycję budowania psychozy narodowej, rusofobizacji świadomości historycznej, wykrzywania perspektyw poznawczych przez nachalną propagandę oraz szantaż moralny i polityczny wobec inaczej myślących. Mamy do czynienia z fałszywym formatowaniem świadomości społeczeństwa,

które poprzez uporczywy dyktat antyrosyjski traci busołę wewnątrzsterowności.

Mentalność stada

Wydawałoby się, że w erze dostępu do rozmaitych źródeł informacji społeczeństwo jest w stanie rozumnie reagować na szkodliwe manipulacje ze strony władzy i mediów. Tymczasem niski poziom edukacji, podatność na egzaltację patriotyczną i mitologizację historii szerokich mas społecznych wywołują efekt reakcji stadnej. Akceptacja prymitywnych przekazów o heroizmie rodaków, czy ich wyjątkowości powoduje skupianie się wokół władzy, która poprzez demagogiczne chwytły wzmacnia zbiorowe poczucie mocy i wartości. Potęguye je kontrastowanie ze znienawidzonym wrogiem, o którym nie ma realnej wiedzy, ale pielęgnuje się zapośredniczone od poprzednich pokoleń uprzedzenia i błędne przekonania. Wyobrażenia, nastawienia, mity i stereotypy determinują postrzeganie Rosji. Do tego dochodzi obłądna megalomania, że w rozpoznaniu intencji Kremla Polska jest prymusem wśród Europejczyków.

Takim postawom służy polski system edukacji historycznej, oparty na reprodukcji wiedzy zmitologizowanej. Brakuje mądrego „rewizjonizmu historycznego”, który obaliłby dotychczasową filozofię nauczania fałszywej historii na rzecz projektowania siebie w nowoczesnym i współzależnym, a zatem tolerancyjnym i rozumiejącym innych świecie. Założenie o trwałej wrogości Rosji wobec Polski przeczy nie tylko faktom. Odbiega także od narracji politycznej i medialnej Rosjan, którzy ani nie zgłaszają pretensji pod naszym adresem, ani nie szukają zwady. Uznanie Rosji za wroga i nawoływanie do jej pokonania w trwającej wojnie staje się dogmatycznym wyznacznikiem patriotycznej lojalności i fałszywej sojuszniczej wierności. A irracjonalna gotowość do „umierania za Kijów” świadczy raczej o utracie instynktu samozachowawczego niż o trzeźwej kalkulacji ryzyka.

Ulegając wszelkim możliwym determinizmom Polacy biorą na siebie odpowiedzialność za „uwiecznienie” konfliktu z Rosją. Są ku temu realne przesłanki, gdyż strategia amerykańska potrzebuje Polski jako „historycznej kości niezgody, stojącej w gardle zarówno Niemcom, jak i Rosji”. Ameryka poprzez swoje zaangażowanie wojskowe i gospodarcze musi dopilnować, aby ta „kość” nadal tam tkwiła i przeszkadzała powrotowi normalnych stosunków Rosji z Niemcami (George Friedman).

O ile Ukraina „zrutynizuje” wrogość wobec Rosjan, umacniając nacjonalistyczną tożsamość, a przy trwałym wsparciu zewnętrznym zbuduje swoją pozycję zbrojnego „bastionu” czy „rygla” Zachodu wobec Rosji, o tyle Polska na długie lata zostanie opętana szaleństwem zbrojeniowym, kolejnymi falami rozczarowań z powodu zachodnich „resetów” oraz obsesją na tle groźby „odwrócenia sojuszy”. Pozostaje jednak otrzeźwiające umysły pytanie, jak długo można trwać w ciągłej nienawiści i wrogości? Czy rządzący zdają sobie sprawę ze swojej odpowiedzialności za następne pokolenia Polaków, gdy szykują dla nich psychologiczny terror, czyli permanentny stan strachu i niepewności wobec jednego z najważniejszych sąsiadów?

Trudno ocenić szanse na zmianę tego perfidnego planu, który krępuje w Polsce vitalne siły narodu i kieruje energię w bezproduktywny konflikt, będący zarzewiem globalnej konfrontacji mocarstw. Odwrotu od straceńczej strategii mogą dokonać wyłącznie sami Polacy, biorąc przykład choćby z Turcji, o Węgrzech nie wspominając. Muszą pojawić się jednak odważni liderzy polityczni, uzbrojeni w analityczną wiedzę o zbiorowej świadomości Polaków i jej uwarunkowaniach. A także o cynicznej grze mocarstw, którym nigdy ze względu na ich Realpolitik nie można zaufać. Tylko oni mogą zaproponować nową narrację na temat splotu interesów sąsiedzkich i regionalnych, warunkujących tożsamość narodów, gwarantowanie wzajemnego bezpieczeństwa i odżegnanie się od wojny.

Czas na realizm

Impulsem dla takiej zmiany może stać się intensyfikacja ogólnonarodowej debaty, z udziałem ludzi myślących i odważnych, którzy będą gotowi przeciwstawić się patologicznej indoktrynacji. Trzeba jednak najpierw odrobić zaległe lektury, choćby Aleksandra Bocheńskiego „Dzieje głupoty w Polsce”, czy Lecha Mażewskiego „Powstańczy szantaż”. Należy też czytać pouczające książki amerykańskich realistów politycznych, jak Kennetha N. Waltza, Stephena Walta czy Johna Mearsheimera. Na szczęście ich dzieła są już w większości dostępne w języku polskim.

Gdzie tylko można, należy upowszechniać wiedzę, że długotrwały konflikt na Wschodzie jest szkodliwy zarówno dla Polski, jak i Ukrainy. Ta ostatnia zamiast demokracji buduje trwałe alibi dla umacniania rządów oligarchicznych i uzurpatorskich. Polska natomiast staje się marionetką w polityce Stanów Zjednoczonych, poddana takiemu „praniu mózgów”, że w rezultacie traci swoją tożsamość narodową i kulturową. Już dzisiaj widać, jak na naszych oczach demontuje się możliwość decydowania o sobie, a przede wszystkim zabiera się prawo sprzeciwu wobec złowrogich decyzji podejmowanych w centrach decyzyjnych NATO czy Unii Europejskiej.

Skazywanie Polski na trwanie w nierozwiązywalnym konflikcie nieuchronnie generuje olbrzymie koszty, szkodzi polskiej demokracji, a także obezwładnia środowiska kultury i nauki, które z różnych powodów ulegają patologicznej psychozie. W Polsce widać, jak ogromne szkody poczyniła w umysłach elit kulturowych rusofobiczna propaganda. Gdy rozum przysnął, obudziły się prowojenne upiory.

Autorstwo: prof. Stanisław Bieleń

Źródło: MyslPolska.info